Nr. 25. We Lwowie, Poniedziałek dnia 20. Czerwca. 189

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO”

pod redakcją *Stanisława Rossowskiego.*

Kwiatuszek.

(Z Puszkina).

Zeschły kwiatek bez zapachu
Widzę w książce zapomniany;
Jakby mroźny powiew strachu.
Wpada w serca mego ściany.

Gdzie kwitł? Kiedy? W jakiej porze?
Długo? Kto go uszczknął zdradnie?
Znana dłoń, czy obca może?
Po co tkwi w tej książce na dnie?

Czy pamiątka to widzenia,
Czy też długiej dumań chwili?
Ślad rozkoszy, czy cierpienia
Tych, co w ręku go pieścili?

Czy szczęśliwi zawsze w życiu?
Gdzie ich pchnęły losu zmiany?
Czyli uschli już w ukryciu
Tak, jak kwiatek ten nieznany? *r. l.*

JULIA ROMAIN.

Szedłem pieszo przed dwoma laty na wiosnę wzdłuż wybrzeża Śródziemnego morza. Cóż przyjemniejszego, jak dumać, błąkając się po gościńcu. Idzie się po słońcu wśród pieszczot wietrzyka, po grzbiecie góry, nad brzegiem wody. I marzy się! Ile złudzeń, ile uczuć, ile wydarzeń przesuwa się tak w ciągu dwugodzinnej przechadzki przez rozkołysaną duszę! Wszystkie nadzieje radosne i nieokreślone, wsiąkają w nas z ciepłem powietrzem.

I pije się je w powiewach morskich, a one rodzą w naszem sercu głód szczęścia, rosnący z obudzonym przez ruch apetytem. Myśli szybkie, rzewne, migotliwe latają i śpiewają po głowie niby ptaki.

Szedłem tedy tym długim gościńcem wiodącym od St. Raphael do Włoch, a raczej szedłem wśród tej długiej wspaniałej i zielonej dekoracji, zda się stworzonej na upostaciowanie wszystkich miłośnych poematów ziemi. I myślałem, że począwszy od Cannes, gdzie się pozuje, skończywszy na Monaco, gdzie się gra, przyjeżdża się do tego kraju tylko po to, żeby sobie narobić kłopotu, lub zbijać pieniądze, żeby roztaczać pod tem cudnem niebem, w tym ogrodzie róż i pomarańczy, wszystkie niskie skłonności niemądre pretensje i brudne pożądania, słowem żeby pokazać ludzkiego ducha takim, jakim jest, pełzającym, ograniczonym, aroganckim i chciwym.

Nagle, w głębi jednej z tych zachwycających zatok, jakie się spotyka na każdym zakręcie góry, zobaczyłem kilka willi, cztery czy pięć tylko, naprost meża u stóp wyniosłości i tuż przed dzikim lasem jodłowym ciągnącym się po za niemi długiemi wąwozami bez dróg i bez wyjścia może. Jeden z tych pałacyków zatrzymał mnie przed sobą, tak był ładny mały bielutki, o brunatnych wykładaniach z drzewa i pokryty pnącemi się różami aż pod sam dach.

A ogród: istny dywan wszystkich barw i rozmiarów pomięszanych w kokieteryjnym, wyszukanym nieładzie. Pełno ich było na trawniku; każdy stopień peronu miał kwitnące kląbiki po obu końcach, a taras o kamiennej balustradzie, pokrywający tę rozkoszną siedzibę, otoczony był girlandą olbrzymich czerwonych dzwonków podobnych do krwawych plam.

W głębi widać było długą pomarańczową aleję, ciągnącą się aż do stóp góry.

Nad drzwiami, małemi złotemi literami świecił napis: „Willa d'Autan.“

Zapytywałem siebie, jaki poeta lub jaka wróżka musi tam mieszkać, jaki natchniony samotnik odkrył to miejsce i stworzył ten dom uroczy, jakby wśród kłąbu wraz z kwiatami wyrosły.

Nieco dalej wyrobnik jakiś tłukł kamienie na gościńcu.

Zapytałem go o nazwisko właściciela. Odpowiedział mi:

— To pani Julia Romain.

Julia Romain! Niegdyś w dzieciństwie słyszałem o niej jako o wielkiej aktorce, rywalce Rachel'i.

Nie było kobiety bardziej oklaskiwanej i kochanej, kochanej zwłaszcza! Ileż pojedynków, ileż samobójstw dla niej, ileż głośnych awantur! Ile ona mogła mieć lat teraz ta czarodziejka? Sześćdziesiąt, siedmdziesiąt pięć może! Julia Romain! tutaj w tym domu! kobieta, którą uwielbiali: największy muzyk, i najniepospolitszy poeta Francji. Przypaminam sobie ile, to hałasu narobiła w całym kraju (miałem wówczas dwanaście lat) jej ucieczka z jednym po nagłym zerwaniu z drugim.

Wyjechała pewnego wieczora, po pierwszem przedstawieniu w nowej roli, w której przywołano ją jedenaście razie z rzędu; wyjechała z poetą pocztowym powozem, jak podróżowano wówczas; przebyli morze, aby się kochać na starożytnej wyspie, córce Grecji, wśród olbrzymich pomarańczowych lasów otaczających Palermo, którą nazywają „Złotą Konchą“.

Opowiadano o ich wejściu na Etnę, i jak oboje pochylili się nad olbrzymim kraterem, pochyleni w uścisku, jakby chcąc się rzucić w tę ognistą przepaść.

On umarł, ten twórca poezji tak poruszających i głębokich, że przyprawiły o zawrót głowy całe pokolenie; a tak subtelnych, tak tajemniczych, iż otworzyły nowe światy nowym poetom.

I tamten opuszczony umarł także, poświęciwszy jej melodje, które zostały w pamięci wszystkich, melodje tryumfu i rozpaczy upajające i rozdzierające zarazem. A ona, żyła tutaj w tym domku osłoniętym kwiatami!

Nie wahając się, zadzwoniłem.

Otworzył mi ośmnastoletni chłopak niezgrabny, o głupowatej fizjognomji. Napisałem na moim bilecie kilka pochlebnych słów dla starej aktorki, prosząc gorąco, aby mnie przyjęła. Może też nazwisko moje nie było jej obcem.

Lokajczyk odszedł, poczem wrócił, prosząc, żebym szedł za nim i wprowadził mnie do czystego, sztywnego salonu, w stylu Ludwika Filipa, o meblach ciężkich i chłodnych, z których szesnastoletnia pokojóweczka, szczupła i zgrabna, ale nieładna, ściągnęła pokrowce na moją intencję.

Poczem zostałem sam.

Na ścianach wisiały trzy portrety: aktorki w jednej z jej ról, poety w długim, obcisłym surducie, z żabotem u koszuli, według ówczesnej mody i muzyka siedzącego przed klawikordem. Ona blondynka, śliczna, ale wymizdrzona, także

łam uczynić się ładną, ale czułam, że gasnę i blednę zupełnie wobec tego ślicznego dziecka, które zapowiadało niezwykłą piękność.

Ale to przekonanie napawało mię dumą... Kochałam Jadwisię do tego stopnia, że nigdy najmniejsze uczucie zazdrości, nie mogło powstać we mnie. Jednakowoż chciałam wyglądać dziś ładnie...

Pojawienie się nasze u źródła zwróciło nawet w tak wielkim tłumie pewną uwagę. Widocznie miano nas nowo-przybyłe.

Zaraz na skręcie, spotkałam p. Marecką idącą z jakimś słusznym blondynem. Zatrzymała mnie i zawezwała do wspólnej przechadzki. Przyjęłam z chęcią, bo zaczynało mi już być trochę nieprzyjemnie samej z Jadwisią... P. Marecka przedstawiła mi zaraz owego blondynka, jako Erazma Soleckiego — i puściliśmy się w drogę.

Pan Erazm przypatrywał mi się z zajęciem i bawił mnie wybornie. P. Marecka, która jest wesoła i żywa, jak żywe srebro, nazwała mnie czarującą i wyliczyła mi zaraz najświeższe nowinki, ze świata nr, I i nr. II.

Chodziliśmy tak z kwandrans, gdy nagle z grabowej alei wysunęło się wczorajsze towarzystwo, zdążając wprost ku nam.

Don Alonzo, szedł obok jednej z pań. Na widok jej doznałam takiego uczucia jakgdyby mi ktoś gorące żelazo przytknął do serca.

Zrobiło mi się dziwnie, dziwnie przykro...

Ta kobieta była bardzo piękną. Miała złote włosy, świeżą płeć i duże czarne oczy. Długi tren czerwonej jedwabnej sukni wlókł się po piasku — kapelusz okrągły pokryty jedwabnymi makami, cudnie odbijał od złotych włosów. W ręku trzymała parasolkę, wykonując nią przeróżne ruchy... W postawie swej miała coś wyzywającego i nieprzepartego zarazem. Cała jej pysznie rozwinięta postać, zdawała się mówić:

— Patrzcie, — otom piękna...

Don Alonzo szedł obok niej z uśmiechem i widocznie zajęty był żywą rozmową — przechodząc koło nas, oddał nam ukłon głęboki.

Zdaje mi się, że wtedy po raz pierwszy zabłysła mi myśl:

— Kocham go...

całym apetytem zabierać się do nich, gdy nagle adwisia zastękała głośniej.

— Co tobie, Jadwiniu? — spytałam, podchodząc ku niej. Nie odpowiedziała, lecz nie ustawała stękać żałośnie. Położyłam rękę na jej głowie — gorąca była jak ogień... oddech rozpalony...

Przeraziłam się okropnie... to mogła być recydywa.

— Jadwisiu, złoto moje... powiedz, co ci jest? Powiedz Izi, widzisz. Izia płacze... powiedz...

Otworzyła nawpół powieki, wpatrując się we mnie przymglonym wzrokiem... Nakoniec zrozumiała, o co mi chodzi i wyszeptała:

— Gorączkę mam znowu. Iziuniu... kłuje mię...

Nie namyślając się dłużej, zadzwoniłam na służącą, i kazałam jej iść po doktora.

— A którego? spytała.

— Czy ja wiem? Nieznam tu nikogo... Sprowadź którégokolwiek, który najbliżej...

Tymczasem pościeliłam łóżko i z niemałym trudem rozebrałam Jadwisię i przeniosłam ją na nie. Upłynęło kwadrans, półgodziny — doktor nie nadchodził... Zaczęłam się modlić. —

Spojrzałam na zegarek, dochodziła już dziewiąta. Boże mój, co ja tu pocznę, jeżeli Marynia nie mogła zastać, żadnego z doktorów...

Nagle lekkie pukanie — drzwi się otwierają. Wchodzi doktor. Podchodzę ku niemu, aby go przywitać — i staję nagle na środku pokoju, zdumiona... Ta twarz mi znajoma — i to dobrze znajoma... przymrużam oczy, wpatruję się, może mi się zdaje... lecz nie, i na jego twarzy okazuje się lekkie zdziwienie, a potem uśmiech...

— Nie poznaje mię pani?

— Pan Jaworski...?

— „Don Alonzo“.. do usług...

— Ach!

Czuję, że oblewam się krwią i stoję zmieniona, nie wiedząc, co mówić...

Ale on jest panem położenia najkompletniej. Uśmiech ironiczny znika mu z ust:

— Kogoż tu pani ma chorego? — pyta poważnie.

— Moja mała siostrzyczka...

Zbliżam się do łóżka. Opowiadam mu cały przebieg poprzedniej choroby i dzisiejsze objawy.

na dawny sposób uśmiechała się wdzięcznemi usteczkami i błękitnem okiem; pędzel był staranny, elegancki, delikatny, lecz suchy.

Oni zdawali się patrzeć już na blizką potomność.

Wszystko to tchnęło przeszłością, minionemi dniami i zgasłymi ludźmi.

Drzwi się otwarły i weszła kobiecina stara, bardzo stara, maleńka, o białych pasmach włosów, białych brwiach, istna biała myszka, ruchliwa fertyczna.

Podała mi rękę i rzekła głosem świeżym jeszcze i dźwięcznym.:

— Dziękuję panu. Jak to grzecznie ze strony dzisiejszych mężczyzn przypomnieć sobie o kobietach dawnych czasów. Proszę usiądź pan.

Opowiedziałem, jak mnie jej dom zachwycił, jak zapragnąłem dowiedzieć się nazwiska właściciela, i jak dowiedziawszy się go, niemogłem oprzeć się chęci zadzwonienia do niej.

Odpowiedziała mi:

— Sprawia mi to tem większą przyjemność, że mi się po raz pierwszy zdarza. Gdy mi oddano bilet pana z temi kilku miłemi słowy, zadrżałam, jakgdyby mi oznajmiono dawno pożegnanego przyjaciela. Widzisz pan, ja bo jestem jakby już umarła, o której nikt nie pamięta, nikt nie myśli, aż do dnia, kiedy umrę naprawdę, a wtedy wszystkie dzienniki będą mówiły przez trzy dni o Julii Romain, będą pełne szczegółów, anegdot i pochwał przesadzonych. Potem będzie już koniec na zawsze.

Umilkła i po chwili ponowiła:

— A na to nie długo czekać. Za kilka miesięcy, za kilka dni może, z tej małej kobieciny żywej jeszcze, zostanie tylko szkielet

Podniosła oczy ku swemu portretowi, który uśmiechał się do tej własnej karykatury; poczem spojrzała na obu mężczyzn: na pogardliwego poetę i natchnionego muzyka zdającego się mówić: „Czego od nas chce ta ruina?“

Nieokreślony, nieprzeparty, przenikający smutek ściskał me serce, smutek tych egzystencii skończonych, które miotają się jeszcze we wspomnieniach, jak tonący w głębokiej wodzie.

Z mojego miejsca widziałem szybkie błyszczące powozy, jadące z Nizzy do Monaco, a w głębi ich kobiety młode, piękne, bogate, szczęśliwe; mężczyzn zadowolonych — uśmiechniętych. Ona powiodła także oczyma w tę stronę, zrozumiała myśl moją i szepnęła z oznakiem rezygnacji:

— Nie można być zawsze tem, czem się było.

— Jak życie musiało być pięknem dla pani! rzekłem.

Westchnęła przeciągle.

— Pięknem i szczęśliwem. Dlatego też tak bardzo go żałuję.

Spostrzegłem, że jest usposobioną do mówienia o sobie, i zwolna, ostrożnie, jak kiedy się dotyka bolącego ciała, zacząłem ją rozpytywać.

Mówiła mi o swoich tryumfach, swoich upojeniach, przyjaciołach, o całem tem życiu rozkoszy i blasku.

— Ale — spytałem, czy najwyższe radości prawdziwe szczęście pani teatrowi zawdzięczasz?

Odpowiedziała z żywością:

— O, nie.

Uśmiechnąłem się, a ona, podnosząc oczy ku portretom dodała ze smutnym uśmiechem:

— Im.

Nie mogłem się wstrzymać od zapytania:

— Któremu?

— Im obydwom. Stara moja pamięć miesza ich w moich wpomnieniach, a przytem ma wyrzuty względem jednego z nich dzisiaj.

— Tak więc, pani, to nie im lecz miłości samej należy się wdzięczność twoja. Oni tylko byli jej pośrednikami?

— Być może. Ale jakimi pośrednikami!

— A czy pani jesteś pewną że nie byłaś że nie byłabyś lepiej kochaną przez zwykłego śmiertelnika, który nie byłby wielkim człowiekiem, lecz który byłby ci poświęcił całe swoje życie, całe serce, wszystek swój czas, podczas, gdy oni dawali ci dwie groźne rywalki: Muzykę i Poezję?

Ale ona zawołała z mocą, tym głosem młodym zawsze i poruszającym do głębi duszy:

— O! nie, panie, nie. Innny byłby mnie może bardziej kochał, ale nie byłby tak kochał jak oni. Ach! bo oni mi wyśpiewali muzykę miłości tak jakby jej nikt wyśpiewać nie potrafił. Jak mnie upajali! Czyż inny, jakikolwiek innny byłby znalazł to, co oni umieli znaleść w dźwiękach i słowach? Czyż to dosyć kochać, jeżeli się nie potrafi włożyć w miłość całej poezji i całej muzyki nieba i ziemi! A oni wiedzieli jakto doprowadzić do szału kobietę śpiewem i słowem. Tak, było może w naszych uczuciach więcej złudzenia niż rzeczywistości, ale złudzenia takie unoszą w obłoki, podczas gdy rzeczywistość przykuwa zawsze do siebie. Jezeli inni bardziej mnie kochali, ja przez tych dwóch tylko odczułam, zrozumiałam miłość!

I nagle zaczęła płakać!

Płakała cicho, rozpaczliwemi łzami.

Udałem, że tego nie widzę, patrząc przed siebie w dal.

Po niejakim czasie ponowiła.

— Widzisz pan, u wszystkich prawie ludzi serce starzeje się z ciałem. Ze mną inaczej. Moje biedne ciało ma sześćdziesiąt dziewięć lat, a moje biedne serce ma ich dwadzieścia... I dla tego to żyję tak sama wśród kwiatów i marzeń!

Nastało długie milczenie. Uspokoiła się i zaczęła mówić znów z uśmiechem.

— Ach! jak byś się pan śmiał ze mnie, gdybyś wiedział.. gdybyś wiedział, na czem spędzam wieczory, kiedy czas piękny!...

Wstydzę się samej siebie i lituję się nad sobą.

Napróżno nalegałem, nie chciała mi powiedzieć; wstałem więc, żeby się pożegnać.

— Jakto! Już? zawołała.

A kiedym odpowiedział, że spieszę na obiad do Monte Carlo, zapytała nieśmiało:

— A nie zostałbyś pan na obiedzie? Zrobiłbyś mi pan taką przyjemność!

Przyjąłem odrazu. Zadzwoniła uszczęśliwiona, poczem wydawszy jakieś polecenia pokojówce, oprowadziła mnie po mieszkaniu.

Rodzaj werendy oszklonej, pełnej krzewow wychodził z sali jadalnej, dając widok na całą pomarańczową aleję, ciągnącą się aż do stóp gory. Nizki fotel ukryty wśród roślin wskazywał, że stara aktorka przesiaduje tu często.

Poczem poszliśmy do ogrodu obejrzeć kwiaty. Wieczór zapadał z cicha, jeden z tych ciepłych spokojnych wieczorów, które wydobywają wszystkie wonie z ziemi. Było już prawie ciemno, kiedyśmy do stołu zasiedli. Obiad był dobry i długi, i poprzyjaźniliśmy się wprędce, ona bowiem odgadła z kobiecą przenikliwością, jak głębokie współczucie i sympatję budzi w mojem sercu. Wypiła dwa naparsteczki wina, jak mówiono dawniej i stawała się bardziej wynurzająca, rozmowną.

— Pójdźmy popatrzeć na księżyc — rzekła. Ja uwielbiam księżyc. Był on świadkiem moich najwyższych radości. Zdaje mi się, iż wszystkie moje wspomnienia w nim się kryją, i potrzebuję wpatrzeć się weń tylko, żeby mi powróciły. A nawet czasem wieczorem... sprawiam sobie ładne widowisko... bardzo ładne... gdybyś pan wiedział!.. Ale nie; wyśmiewałbyś się pan ze mnie potem... nie mogę... nie odważę się... nie nie... doprawdy nie!..

Zacząłem ją błagać:

— Cóż to takiego?.. proszę powiedz mi pani.. przyrzekam, że się wyśmiewać nie będę... cóż to takiego?...

Po dokładnem zbadaniu, okazało się, że Jadwisia dostała recydywę.

— Niech się pani nie martwi... niedobra to rzecz, wprawdzie, ale mała ją wytrzyma... Wytrzyma, mówię pani, bo choć szczupła jest i osłabiona, ale organizm nie zniszczony wcale...

Jednak ja stałam jak piorunem rażona. Biedna Jadwisia! Biedne dziecko i tak już schorowane! Co ja zrobię? Boże, co ja zrobię?

Wiadomość ta przygniotła mię boleśnie. Sama jedna z chorem dzieckiem, w obcem miejscu, nie obeznana z niczem; nie mając ani jednej duszy życzliwej... czyż dam sobie radę? Ale to już mniejsza... ale Jadwisia, Jadwisia, czy wytrzyma? Pogrążona w tych myślach, stałam nieruchoma u nóg Jadwisi... doktor siedział obok niej i trzymał jej rączkę, licząc uderzenia pulsu

— Pani tu sama? spytał po chwili.

— Sama.

— No, ale ze znajomych...

— Nie mam nikogo... Pani Z., z którą się tu miałam spotkać, nie przybyła jeszcze..

— Aaa, pani Z.! Znam ją, była tu już w przeszłym roku...

— Ta sama...

— Teraz zapiszę krople — rzekł, wstając — co godzina 10 kropel.. i zimny okład na głowę, zmieniać często.. na teraz nic więcej..

Nie miałam ani papieru, ani atramentu, ani pióra.. Don Alonzo wydarł kartkę z notatnika i napisał receptę ołówkiem.

— Wie pani — powiada — dobrzeby było także, dawać od czasu do czasu trochę ciepłej limoniady. Niech pani trzyma ciągle gorący samowar... ale pani nie ma samowara? prawda?.. To nic, zaraz tu pani przyszlę...

— Dziękuję panu... mogłabym na maszynce..

— Nie, nie; na maszynce się nie da... za wielki ambaras... zresztą pocóż, gdy mogę pani przysłać samowar... Panno Izo, pani jest tu sama i mnie będzie bardzo przyjemnie przysłużyć się pani czemkolwiek... przecieżeśmy starzy znajomi.

Mówił to tonem obojętnym, ugrzecznionym, uśmie-

Wyjrzałam. Przy drzwiach stało towarzystwo, żegnając się wesoło; w tem towarzystkie był też „don Alonzo“.

Pomimo zmroku poznałam go natychmiast, a zdaje mi się, że poznałabym go i w ciemności.

Należał widocznie do dwóch panów, odprowadzających panie. Do jednej z nich zwracał się z szczególną żywością, a głos jego brzmiał wesoło i swobodnie, jakby pod wpływem jakiejś radości.

— Bliższe szczegóły jutro, przy źródle..

— Jutro... o 10-tej..

— Brawo! Czekamy...

— Dobranoc — Dobranoc — Rączki całuję!...

Rozeszli się...

Rano chodziłem zwykle z Jadwisią do źródła o 8-mej, a potem szłyśmy na śniadanie, a potem udawałyśmy się do pobliskiego szpilkowego lasu. Towarzyszyła nam zwykle pani Z., Lunia—a kiedy niekiedy parę znajomych amatorek rannego wstawania.

Jutro postanowiłam zrobić wyjątek.

W R., jak we wszystkich zresztą głośniejszych kąpielach, znajdują się różne światy: arystokratyczny prawdziwie i wysoko — ten jest bardzo szczupły; — świat arystokracji pieniężnej, do którego wchodzą również sfery artystyczne, — i świat biedny, t. j. ten, który właściwie po zdrowie tu przybywa.

Świat nr. I — ma zwyczaj przychodzić do źródła około 10-tej — świat nr. II. poczuwając się do obowiązku, naśladowania wszystkiego, co czyni świat nr. I — przychodzi również koło 10-tej. Ten tłum, ścisk i kurz przepełniający, dość ważny stosunkowo park, o tej porze, tak mi się niepodobały, że obrałam sobie zwyczaj chodzenia do źródła o 8-mej, tj., kiedy park jest prawie pusty.

To też Jadwisia, zdziwiła się ogromnie, gdym jej rano zapowiedziała, że do źródła idziemy o 10-tej.

— Cóż chcesz, moja Jadwisiu — rzekłam, śmiejąc się — jestem tu już przeszło trzy tygodnie, a do tej pory nie widziałam prawie nikogo z różnych znanych i starych tu osobistości.. Trzeba się raz rozgrzeszyć...

Ubrałam Jadwisię w jej ciemno fiołkową suknię i biały kapelusz — była w tym stroju tak śliczna, ze swą bladą twarzyczką i czarnemi jak aksamit oczyma, że ażem się sama zdumiała. Ja również nie zaniedba-

Wahała się. Ująłem jej ręce; jej biedne, drobne rączki tak chude, tak chłodne i całowałem je po kilkakrotnie jedną po drugiej, jak to oni niegdyś robili. To ją wzruszyło, ale wahała się jeszcze.

— Obiecujesz mi pan, że się śmiać nie będziesz?

— Przysięgam.

— A więc pójdź pan.

Wstała. A gdy mały lokajczyk niezgrabny w swej zielonej liberji odsuwał za nią krzesło, szepnęła mu coś szybko do ucha. Odpowiedział:

— Zaraz, proszę pani.

Podał m jej rękę i wyszliśmy na werendę.

Pomarańczowa aleja przedstawiała się uroczo. Księżyc w pełni, rzucał pośrodku wązką srebrną ścieżkę, długą linję, świetlaną padającą na żółty piasek przez okrągłe i ciemne wierzchołki drzew.

Drzewa te kwitły i woń ich upajająca i słodka napełniała noc. A wśród ich ciemnej zieleni widać było setki robaczków świętojańskich podobnych do latających gwiazdek.

— Istna dekoracja dla sceny miłosnej! zawołałem.

Uśmiechnęła się.

— Nieprawdaż? nieprawdaż? Zobaczysz pan.

I kazała mi usiąść przy sobie.

Poczem szepnęła:

— Na takie rzeczy patrząc, żałuje się życia Ale wy ludzie dzisiejsi, wy nie myślicie o tem. Jesteście giełdziarzami, kupcami przedsiębiorcami. Nie umiecie już nawet przemawiać do kobiet. Miłość stała się stosunkiem, którego początkiem jest często rachunek modniarki... Jeżeli rachunek wydaje wam się droższym niż kobieta, znikacie; ale jeżeli kobieta ma dla was większą wartość niż rachunek, płacicie... Ładne obyczaje.. i ładne uczucia.

Ujęła mnie za rękę.

— Spojrz pan.

Stanąłem zdumiony i zachwycony. Tam od końca alei po srebrzystej drożce, dwoje młodych ludzi szło ku nam, trzymając się w pół. Szli spleceni uściskiem, zwolna, śliczni, przybywając świetlne smugi, i niknąc wnet w cieniu. On miał na sobie strój biały atłasowy jaki noszono w ubiegłym stuleciu, i kapelusz ze strusiem piórem. Ona ubrana była w suknię batystową i miała wysoką pudrowaną fryzurę z czasów Regencji.

O sto kroków od nas zatrzymali się na środku alei i pocałowali się z umizgami.

I nagle poznałem lokajczyka i pokojóweczkę i niepohamowana wesołość, jedna z tych wesołości nie w porę, co są zdolne wnętrzności rozsadzić, podniosła mnie na krześle. Nie śmiałem się przecie: tłumiłem śmiech konwulsyjnym wysiłkiem, jak człowiek, któremu ucinają nogę, tłumi krzyk rozdzierający mu gardło i szczęki.

Dzieci tymczasem zawróciły w głąb alei, oddalając się zwolna, urocze znów w tem oddaleniu niknąc jak sen. Aleja została po nich dziwnie smutna w swej pustce.

Ja także odszedłem; odszedłem, żeby ich znów nie zobaczyć, gdyż domyśliłem się, że to widowisko musiało się za długo przeciągnąć, budząc całą przeszłość, całą tę przeszłość miłości i dekoracji, przeszłość sztuczną, złudną, czarowną, fałszywie i prawdziwie uroczą, dla której jedynie biło jeszcze serce starej aktorki... i starej kochanki.

Guy de Maupassant.

Franciszek Sarcey.

Nazwisko to w ostatnich czasach często pojawiało się na szpaltach pism naszych dzięki tej okoliczności, że Sarcey bawił w Wiedniu. Nie będzie więc chyba od rzeczy wyjawić dokładniej, jakie stanowisko w literaturze zajmuje posiadacz tego nazwiska.

Sarcey, najpopularniejszy z francuzkich krytyków współczesnych, jest według *Lemaitre'a* „tęgim i krwistym siostrzeńcem nerwowego Woltera, wykarmionym na encyklopedycznych ideach XVIII wieku, z uwzględnieniem nowoczesnego postępu i filozofii." Jego postać jowialna, fizyczna zarówno jak moralna, odbija jaskrawo od wyrafinowanych i histerycznych impresjonistów francuzkiej sztuki. Dowcipny po Rabelaisowsku, szczerze wesoły, porywa dobrodusznym i serdecznym humorem. Prostota, jasność i bystrość sięgająca do dna każdej kwestyi cechuje jego jędrne i swobodne pisma. Dorobek literacki Sarce'ya, to kilkogodzinna konwersacyjna pogawędka na szpaltach dzienników stale od trzydziestu lat zapisywana. Wszechstronny publicysta dotykał w niej najżywotniejszych kwestyi, podając nieraz szlachetną do dobrego czynu lub obywatelskiego obowiązku inicjatywę. Mniej wybitny jako romansopisarz odznaczył się jednak w pełnej prawdziwego uczucia powieści: *„Etienne Moret"*, w nieprzaym dowcipem zaprawnym romansie: *„Tribulations d'un fonctionnaire en Chine,"* (nadto przypominającym opowieści Voltaire'a), oraz w kilku tomach „Wspomnień", w których cała inteligencja francuzka przebija się niby w barwnym kalejdoskopie.

Najoryginalniej jednak i najwybitniej zamanifestował się jako krytyk dramatyczny. W tym kierunku dążyły najusilniejsze jego starania, w nim zaznaczyła się jego potężna oryginalność i w nim też spoczęły Sarceya najzasłużeńsze do sławy tytuły.

Krytyka dramatyczna w szerokiem tego słowa znaczeniu, istniała i przed nim. Tylko że krytyka Corneilla i Moliera była wymianą zdań dwóch wielkich geniuszów, Woltera — apologią własnego teatru, Diderota, Grimma — reporterją, La Harpe'a — dogmatyczną gramatyką. Fiorentino, Teofil Gauthier, Juliusz Janin rozszerzył znacznie jej zakres. Ich trafne spostrzeżenia sięgały daleko, lecz gubiły się w chaosie fantastycznych improwizacji — rozpraszały w świetnych lecz luźnych argumentach, niezdolnych do wytworzenia podstawionej teorji.

Wtedy to pojawił się Franciszek Sarcey. Pociągnięty przez serdecznego przyjaciela *About'a* przybył z dalekiej północy i zachował do dnia dzisiejszego nie naiwność, lecz spokój i zimną krew prowincjonalisty, któremu lekkość i ironja paryzka nieprzystoi.

Sumienny, pracowity, cierpliwy z umysłem profesorskim rozpoczął swą karjerę — opisywał spokojnie widziane na scenie sztuki, sądził je poważnie, motywując swe zdanie z starannością pełną logiki.

Powoli uważne przypatrywanie się utworom scenicznym i ich rozlicznym losom, wytworzyło w nim samoistny pogląd na teatr, na jego historję i prawa, składając się na skończoną i pełną ścisłości estetykę dramatyczną. Estetyka ta rozrzucona w fejletonach „*Temps*," od 18 lat kreślony h. dochodzi dziś ilościowo do około 36 tomów. z których każda niemal strona zawiera myśl jędrną, zdrową, po prostu bez ozdób i paradoksów wyrażoną.

Jej jedyną zasadą — doświadczenie, jej jedyną metodą — obserwacja bez doktrynerskich uprzedzeń. Teorja wyradza się skutkiem ostrożnego konstatowania faktów dyskretnie uogólnianych. Sarcey stara się po części wytłumaczyć doznane przez nią wrażenia, objaśniać ją, lecz jej nie przeczyć.

Osią jego rozumowań są dwa następujące spostrzeżenia:

1) Teatr jest rodzajem odrębnym, podległym specjalnym prawidłom, wynikającym z samej jego natury.

2) Sztuki teatralne winne być przeznaczone do grania i to nie przed wyrafinowaną garstką wybranych, lecz przed zbiorową masą kobiet i mężczyzn.

i ośmieszać go w wyobraźni — obraz doktora Jaworskiego, pięknego i eleganckiego mężczyzny, przyćmiewał zupełnie długą, suchą i sztywną postać „don Alonza".

Z początkiem lipca Jadwisia poczęła wychodzić; i wraz z tem ukończyły się wizyty doktora. W tej porze przybyło mnóstwo osób i Jaworski był formalnie rozrywany. — Smutno mi było czegoś, lecz tych wizyt — tak przywykłam do naszych pogadanek o zmroku.. Wieczorem, gdy nadchodziła pora, w której on zwykle odwiedzał Jadwisię — a my byłyśmy w domu, mimowoli nadsłuchiwałam ciągle kroków na kurytarzu i zrywałam się za każdem otwarciem drzwi... Ale „don Alonzo" nie przychodził.

Tak minął tydzień, a może więcej...

Pewnego razu, bolała mię popołudniu głowa, więc wysłałam Jadwisię na spacer z panią Z. — a sama usadziwszy się w fotelu koło okna, wzięłam książkę do czytania. Lecz nie długo to trwało. Wkrótce książka osunęła się na kolana, a myśli moje frunęły i po niejakiem kołowaniu, ugrupowały się dokoła pewnej postaci, około której teraz coraz częściej zaczęły przebywać...

Okno, otwarte było szeroko, a widok zeń był na brzeg parku i drogę doń wiodącą — nabitą teraz różnobarwnym tłumem świetnych pań i panów. Ostatnie promienie zachodzącego słońca nikły już poza drzewami parku — i pierwsze leciuchne półtony mroku poczęły przenikać przyjrzystą świeżość powietrza.

Przymknęłam oczy...

Z odgłosu rozmów zlewających się w jeden chaos, z fal ciepłego powietrza, z ziemi parku, z pierwszych gwiazdek na niebie — z całej przyrody wyłaniał się w mej wyobraźni, jeden jedyny wyraz, którego zawartość, stanowi treść życia ludzkiego...

„Kocham..."

A w marzeniu mojem widziałam mężczyznę, który pochylony nademna, wymawiał go półszeptem gorączkowym, a rzewnym.. Głębokie, żarzące jego oczy patrzyły we mnie z miłością — a piękne, dumne usta drżały wzruszeniem...

Nagle, głośne śmiechy i rozmowy kilku kilku osób tuż pod samem oknem wyrwały mię z zadumy...

chając się zlekka, ja jednak czułam się ciągle zmieszana.

— O proszę pana — odrzekłam — już jeżeli kto, to ja czuję się najmniej uprawnioną do przyjmowania od pana przysług, w imię dawnej znajomości... Zawiniłam w obec pana.

— O pani! — przerwał mi z ironiczną trochę emfazą — wszystkie te bagatelki z przeszłości, dawno zapomniałem... Byliśmy dziećmi. Ale, wie pani, — rzekł już poważnie — że trzeba tu jej koniecznie kogoś do pomocy... przyszlę pani kobietę z zakładu, którą już wypróbowałem w pielęgnowaniu chorych.

— Nie, nie... Broń Boże! — zawołałam żywo — widzi pan, kobiecie takiej musi się naturalnie dobrze zapłacić, a ona nie przydałaby mi się na nic... bo niespuściłabym się na nią, ani na na chwilę...

— No, jeżeli tak, to co innego.

Odszedł, zapowiadając nazajutrz swoją wizytę, a w kwandrans może po jego odejściu, przyniósł lokaj samowar, kosz z węglami i lodem na okłady. Siedząc w nocy koło Jadwisi, rozmyślałam nad doktorem. Boże mój! gdzież to się podział ten dawny:

„Chudy blady i ponury
„Don Alonzo.."

Rysy twarzy pozostały te same; widocznie były one piękne i dawniej, lecz albo przy jego zaniedbaniu traciły, albo też my nie umiałyśmy się poznać na nich, bo „don Alonzo" był teraz pięknym mężczyzną w całem tego słowa znaczeniu... Lecz jakże się zmienił! Cała postać jego nacechowana była tą niewymuszoną, a jednak wzorową elegancją. — Ruchy wykwintne, ubranie szykowne, pewność siebie — uśmiech ironiczny. To wszystko przybyło teraz...

Oczy pozostały te same. Wpadnięte trochę, duże, i żarzące się wewnętrznym ogniem, podczas gdy blada oliwkowa cera, stała się bielszą i zdrowszą, zachowując tylko dawny ton żółtawy. Włosy bujne sinej czarności, nosił zczesane z czoła, jak dawniej, ale jakże mu z tem było teraz ładnie!

Mój Boże, jak to czas ludzi zmienia!

Jadwisia miała noc bardzo złą. Gorączka paliła formalnie to wątłe dziecko. Bezustannie zmieniałam jej okłady i podawałam lekarstwa.

Tak zastał mię świt.

Utwór dramatyczny znajduje się *jakoby* pod naciskiem dwóch *przeciwnych* sobie *konieczności*, którym zarówno *ulegać* jest zmuszonym. Z jednej strony bowiem ze względu na formę zredukowaną do djalogu i na *krótki* przeciąg czasu, jakim rozporządza, nie może odwzorowywać życia z wiernością i ścisłością romansu, z *drugiej* zaś — musi mieć większe nadeń pozory rzeczywistości, ponieważ ją oddaje bezpośrednio przed oczy i uszy słuchaczy.

„Czytelnik *rozumuje*, widz musi *czuć*. Nie pyta się, czy dana scena jest prawdziwą, lecz czy jest zajmującą, a raczej nie pyta się o nic, oddaje się tylko wrażeniu i przyjemności danej chwili."

Aksjomat o obojętności sztuki względem moralności nie istnieje dla teatru według Sarcey'a, „gdyż ludzie zgromadzeni poczuwają zawsze potrzebę sprawiedliwości i cnoty, a każdy z nich lubi publicznie manifestować najszlachetniejsze uczucia."

To też *zło* i dobro powinno być zamanifestowane jaskrawo i charakterystycznie; niewolno pod karą obojętności publicznej pogardzać teatralną moralnością na konwencyi autora z widzem opartą. — Zasadniczy ten pogląd jest, rzec można, cokolwiek zacofany wobec przeciwnych prądów nowożytnych, usiłujących przełamać te właśnie konwesanse i formułki dramatyczne, a tem samem traktować sztukę szerzej, poważniej i żywotniej. Sarcey zaś, wychodzi zawsze ze stanowiska tłumów, sądzi ich zbiorowem okiem, nie przewodniczy im, lecz ulega — ztąd też jego teorje można nazwać estetyką mas.

Niezadawalnia ona wyrafinowanych instynktów tak zwanej inteligencji, która wyżej po nad nią stawia wszystkie fragmenta Sarcey'a, tyczące historji teatru i poglądów na pojedyncze sztuki autorów. Między innemi geneza operetty, określenie jej rodzaju, wykazanie przyczyny rozwoju, powodzenia i upadku zarysowują się po mistrzowsku w kilkunastu barwnych odcinkach *Temps*, niezasługujących na los dziennikarskiej makulatury,

Autor wyprowadza w nich operetę z opery komicznej i wodewilu z kupletami, uważając iż najbardziej sprzyjającą jej chwilą była epoka drugiego cesarstwa. Wtedy bowiem opereta zwróciła Paryżanom w nowej formie dwa upadłe i w cichości żałowane rodzaje — wtedy stanowiła tajemną spójnię z obyczajami i smakiem dnia, dogadzała najistotniejszym instynktom chwili — bladze, wyuzdanej zmysłowości, i rozpasanym wybrykom szalonej brutalnej wesołości.

„*Blaga*," pisze Sarcey, „jest to specjalny wytwór paryżki zrodzony na naszej glebie. Wyszydza ona, ośmiesza, przekręca wszystko, co ludzie zwykli kochać i szanować a sarkazm jej ma tę szczególną cechę, iż każdy stosuje go dla zabawki, dla paradoksu, a nie z własnego przekonania, że chłoszcze w nim innych zarówno, jak i samego siebie, własne wykpiwając szyderstwo. Blaguje ojczyznę, choć zginąłby dla niej w potrzebie, blaguje miłość rodzicielską, choć płacze na wspomnienie starej matki, blaguje nad pięknością Włoch, a zgiąłby kolano przed Rafaelem.

„Początkiem, zasadą blagi, bywa słuszna zresztą pogarda dla banalnych uwielbień i gotowych frazesów, chęć zniszczenia nadętych sztucznie wiatrem balonów i okazania, iż się nie da oszołomić mamiącym pozorem.

„Obok tej jednak jednej dobrej strony, blaga ma wiele ujemnych. Przyzwyczaja umysł do równego lekceważenia prawdy i fałszu, do wyszukiwania we wszystkiem śmieszności wbrew najbardziej ludzkim uczuciom.

„Blagier z profesji wpada zwykle sam w zastawioną przez siebie zasadzkę—upaja się własnem słowy, krzywi umysł, wysusza serce." Ten to rodzaj „dowcipu" istniejący zawsze w Paryżu wyostrzył się i rozzuchwalił za czasów drugiego cesarstwa i znalazł rozległe pole w operecie. Twórcą prawdziwym operety był Hervé—jej mistrzam, Offenbach, Meilhac i Halevy.

Sarcey w świetnej paraleli zaznacza różnicę pomiędzy „Białą damą," drogą naszym pradziadom, a „Orfeuszem w piekle" — pomiędzy sprzecznemi uczuciami, jakie te dwie muzyki malują i wywołują.

„Porównajcie, mówi on, całą partję Boieldieu'ego ze słynnym kadrylem z „Orfeusza," który frenetycznym wirem porwał i oszołomił nasze przeszłe pokolenie. Czy pamiętacie ten śpiew? Czy przypominacie sobie, jak na głos pierwszych dźwięków tej orkiestry zerwało się w jednym podskoku całe społeczeństwo i puściło się w rozpasanego kankana?

„Ach, ta muzyka zdolna zbudzic umarłych! Jej lekko podskakujące, to znów gwałtownie szalone rytmy wydają się być stworzonymi na udzielenie moralnej i fizycznej drżączki tej bezładnej publiczności, której życie całe było istnym tańcem szkieletów. Za pierwszem ukorzeniem pałeczki wywołującem ruch na scenie pomiędzy Bogami Olimpu i piekła zdawało się, jakoby cały tłum widzów zatrząsł się jednym wielkim i namiętnym dreszczem, jakoby wiek cały, rządy, instytucje, obyczaje i prawa zakręciły się w wszechświatowej i wszechpotężnej sarabandzie."

Podobnie silnych ustępów, tracących specyficzny urok w przekładzie, znajdujemy niezliczoną moc w fejletonach Sercey'a.

„Sardou jest kompilatorem," pisze on *a propos* wystawienia „Odety," „niech i tak będzie... Ale trzeba przyznać, iż nie musi być tak łatwo zapożyczać się u innych, skoro ani wy, ani ja tego nie czynimy. Jakto! Można było stworzyć sztukę ze szczątek „Miss Multon" i „Fiammety" sztukę, któraby zrobiła sto przedstawień i przyniosła pięćdziesiąt tysięcy franków, wyście o tem wiedzieli i nie uczyniliście tego? Jesteście zatem idjotami moi przyjaciele."

„Prosto z mostu," jak mówi przysłowie i on tak zawsze... Bezlitośny dla impresjonistów i ich przywódzcy Edmunda Goncourt Sarcey wybucha niepowstrzymaną wściekłością na chorobliwe wyrafinowania współczesnej literatury francuzkiej. Cała istota „newrozy" wraz z jej subtelną diagnozą jest mu wprost wstrętną. Również nieubłaganym, zaciekłym jest on na punkcie duchowieństwa, którego nadużycia piętnuje z Wolterowskim sarkazmem.

„Nie jestem katolikiem, mówi Renan, mimo to cieszy mnie bardzo, że istnieją siostry miłosierdzia i wiejscy proboszcze; gdyby odemnie zależało usunięcie ich, za nic w świecie tegobym nie uczynił." Otóż Sarcey nie zawahał by się w tym względzie. Obok niektórych ateistycznych jego artykułów, ironia Renana wydaje się słodyczą. Możnaby powiedzieć, że te dwa tak różne umysły dopełniają się wzajemnie, a po upajających fantazjach pierwszego, zdrowa i jędrna proza drugiego, jest jakoby wytchnieniem.

Streszczając nasze zdanie o zbiorowej działalności Sarceya, zarnaczamy, iż w luźno rozrzuconych artykułach jego, mieści się cała „Poetyka" doświadczalna Arystotelesa pooniesiona, rozszerzona, oparta na masie utworów dramatycznych, na wszystkiem, co od czasów Arystotelesa napisano dla teatru. Znajduje się tam wiele argumentów, spostrzeżeń, i zasad, którymi się kieruje i które puszcza w bieg za swoje cała nowożytna krytyka francuzka, czerpiącą bez liku z tej skarbnicy zdrowego rozsądku.

E. M.

Prześliczny świt czerwcowego poranku. Wyszłam a ganek znużona bezsennością, chcąc się orzeźwić wieżem chłodnem powietrzem. Delikatna mgła unoiła się jeszcze gdzieniegdzie. Park cały błyszczał od osy i pełen był cieni, odmiennych zupełnie od cieni dnia. Pusto w nim było, tylko świergot ptactwa ogromny — ale mnie coś ciągnęło... Cała ta surowa świeżość przyrody wabiła moją ociężałą i zmęczoną istotę — nadaremnie... Miejsce moje było tam, u łoża tego biednego dziecka, a tak przez nas wszystkich ukochanego... Jadwisia była bardzo dobrą — dobrą i śliczną jak aniołek... Powzięłam postanowienie, aby nie pisać do domu nic o jej chorobie — chyba, broń Boże, w razie czegoś złego...

O 9-tej przyszedł doktor. Zastał mię jeszcze w szlafroku i z warkoczami w nieładzie; ale zbyt byłam strapioną, aby myśleć o prytensji w ubraniu. — Pocieszył mię trochę — powiedział, że spodziewał się silniejszej gorączki — i że Jadwisia stanowczo dobrze przebędzie kryzis.

Tak przeszło dni pięć. Don Alonzo przychodził każdego dnia dwa razy, rano i wieczorem, przesiadywał dłużej — nieraz bawił i godzinę i półtory...

Z Jadwisią polubili się bardzo, przynosił jej kwiaty i cukierki...

Szóstego dnia było już lepiej — gorączka w nocy zmniejszyła się znacznie. Byłam uradowana, lecz fizyczne umęczenie dozwalało mi zaledwie trzymać się na nogach.

Spojrzawszy w lustro, przelękłam się prawie. Twarz moja zbladła i przedłużyła się, oczy podsiniały.

— Nie, tak dłużej być nie może — rzekł don Alonzo, przy rannej wizycie — pani rozchorujesz się sama nakoniec... Ponieważ pani nie chce nikogo obcego, to możeby do do domu napisać..

— O, nie, jeżeli nie pisałam, gdy było źle, to pocóż pisać teraz, gdy pan twierdzi, że jest już dobrze, zresztą ja to sama widzę... Mama nie może zresztą opuścić domu — jest nas jeszcze czworo...

— Tak? ależ pani się tu zamęczy...

— Nic mi się nie stanie. Zmęczona jestem trochę, ale zdrowa. Nie chorowałam zresztą nigdy.

— Owszem, gdy ja panią znałem, miała pani bladnicę...

— Eee blednicę! To tak dawno...

Pierwszy to raz robił aluzję do przeszłości... Ja przytem, czułam się zaraz zmieszana. — Naraz w pośród naszych pogadanek, miałam zamiar opowiedzieć mu o tej fotografji i wyjaśnić moje postępowanie... ale zachowanie się jego sztywne i zimno-wyrzecznione odbierało mi chęć i odwagę. Te rozmowy z nim wieczorne, były moją jedyną rozrywką. Prócz niego i Maryni służącej nie widziałam nikogo. Zwykle rozmawialiśmy o Jadwisi, opowiadałam mu o naszych stosunkach — także mówiliśmy o różnych rzeczach ogólnych.

Raz powiada do mnie:

— Wie pani, że zobaczywszy tu panią za Jadwisią, myślałem, że pani już mężatką...

— Czy tak poważnie wyglądam?

— Nie, ale jeżeli np. pani wtedy miała lat 15 — to zobaczywszy panią teraz, zdaje mi się p ośmiu... tak, po ośmiu latach — miałem wszelkie prawo przypuszczać.

— Zapewne. Ale niestety, nikt mię nie chciał...

Spojrzał na mnie badawczo, a potem uśmiechnął się.

— Panny, które są naprawdy w tem położeniu, nie przyznają się nigdy do tego..

— To nieprawda — ozwała się Jadwisia — Izia miała trzech konkurentów, ale nie chciała iść za mąż...

— A widzi pani..

W dwa tygodnie po naszym przyjeździe, przybyła pani Z. z córeczką. Jadwisia już wstała, ale nie wychodziła jeszcze, więc cieszyła się niezmiernie Lunią, która tylko o rok starsza była od niej. Ja znów z prawdziwą radością powitałam panią Z. Skończyło się moje osamotnienie. Poczciwa przychodziła do mnie często, czasem nawet kilka razy dziennie.

O doktorze, wyrażała się z uwielbieniem.

— To cudotwórca nasz — mówiła — kąpiele, to prawie tylko jemu zawdzięczają swój rozgłos. Nasze panie przepadają z nim... Bo też to śliczny mężczyzna, wziąwszy doktora po za nawias... przyznaj sama...

— No, tak — przystojny jest dosyć...

Nie wiem, dlaczego, ale nawet przed sobą samą nie chciałam przyznać, że don Alonzo, takim, jakim był teraz, podobał mi się nadzwyczajnie... Nadaremnie starałam się sobie, unaocznić jego dawne wyglądanie